

# WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI

## Maryusz na ruinach Kartaginy.

Wielki wojownik, znakomity wódz i do niedawna wszechwładny pan Rzymu, nagle zwyciężony przez szczęśliwego rywala i kryjący się w ucieczce wśród ruin wielkiego miasta, które jak on upadło i runęło, oto chwila przedstawiona na rysunku, a pełna takiej grozy, że starożytni i nowożytni historycy nie pomijali jej nigdy, a wielu artystów za przedmiot do swych utworów brało.

Kajus Maryusz, urodzony r. 157 przed Narodzeniem Chrystusa Pana, był synem ubogich rodziców i służył zrazu w legionach, jako prosty żołnierz. Przez swe zdolności wojskowe i nadzwyczajną siłę charakteru, dał się jednak prędko poznać ludowi rzymskiemu, a że dzielnie bronił spraw jego przeciw patrycyuszom, został wybrany na trybuna, a następnie na konsula; otrzymał więc pierwszą godność w państwie, którą później jeszcze siedm razy piastował.

W ciągu dwóch lat ukończył pomyślnie w Afryce północnej wojnę z królem Jugurtą; głównem jednak jego dziełem było ocalenie Rzymu od najścia dwóch plemion germańskich — Cymbrów i Teutonów, którzy przeszli już Alpy i grozili stolicy.

Pomimo przeważającej liczby nieprzyjaciół, legiony Maryusza w dwóch wielkich bitwach (101 roku przed Nar. Chr.) zniosły do szczytu hordy barbarzyńców i odstraszyły na długo plemiona germańskie od podobnych napadów.

Upojony sławą tych zwycięstw, Maryusz zaczął nadużywać swej władzy i zapragnął znieść senat rzymski, który rządził państwem. Znienawidzony jednak przez stronnictwo patrycyuszów za swe okrucieństwa, został pobity przez Syllę, wzięty do niewoli i na śmierć skazany. Ratował



Maryusz na ruinach Kartaginy.

się ucieczką do Afryki i wówczas przebywał czas jakiś wśród ruin Kartaginy, rozmyślając o swoim upadku.

Gdy jeszcze raz udało mu się powrócić do Rzymu i odzyskać władzę, mścił się w sposób straszliwy na stronnikach Sylli, lecz na siedemnasty dzień swego siódnego konsulatu, umarł nagle, zostawiając po sobie wspomnienie dzielnego i mężnego wodza, ale zarazem wielkiego okrutnika.

## DO DZIEWECKI NASZEJ.

Od kwiatka fruwać do kwiatka,  
Pojąc się życia słodyczą;  
Wesoło nucąc, wesoło  
Srebrzystą piosnkę dziewczęcą...  
Od kwiatka fruwać do kwiatka!

\* \* \*

Motylka pestać, motylka  
Niech cię jedynie nie mami:  
Nie samą życie — pustotą,  
Na mrówkę zmien się czasami,  
Ze szczerą pracy ochotą,  
Choć postać masz ty motylka.

*Lucyan Uzębło.*

*Sofia Kowerska*

## DZIELNY CHŁOPIEC.

(Dalszy ciąg).

— Musisz się ty jednak żywić u kogoś — rzekł wreszcie Józik, który nakoniec zrozumiał, że pies skomlał nie o kawałek chleba, ale o pogłaskanie i pieśczętę. Widocznie jacyś dobrzy ludzie pomagają ci...

W tej chwili pani Warbicka otworzyła oczy.

— Józiku — wymówiła szeptem — przyrządź mi herbaty, bo mi jakoś zimno.

Józik zaczerwienił się mocno, potem zbladł jak chusta. Ani nafty nie było już w domu, ani listeczka herbaty. Jak tu powiedzieć o tem pani Warbickiej?

— Dobrze, proszę pani — rzekł Józik.

Wziął dzbanuszek, w którym przynosił mleko i zbiegł ze schodów. Drżący, bez tchu stanął przed drzwiami mieszkania na pierwszym piętrze. Nogi się pod nim ugięły i zdawało mu się, że nigdy nie odważy się przycisnąć guzika od dzwonka, a jednak czuł, że zadzwonić musi, że wejść musi do tych ludzi nieznajomych, bo jego opiekunka nie miała czem ugasić pragnienia. Wreszcie sam nie wiedział jak się to stało, że guzik nacisnął i drgnął ze strachu, usłyszawszy dzwonek za drzwiami, za któremi rozległy się zaraz spieszne kroki i lokaj w białym fartuchu, gdyż właśnie sprzątał w pokojach, ukazał się we drzwiach. Obejrzał Józika od stóp do głów a potem zapytał:

— Czego tu chcesz, chłopcze?

Józikowi tak zęby dzwoniły, że przez chwilę mówić nie mógł, nareszcie jękając się, rzekł cicho:

— Pani Warbicka chora... już dawno chora... wszystko poszło na lekarstwa... prosi o szklankę herbaty, a tu niema...

— Więc czegoż ty chcesz?

— Herbaty w ten dzbanuszek.

— A już tym żebrakom to się Bóg wie co zachciwa! Herbaty w dzbanuszek! Wynos mi się stąd dopókiś cały i nie czekaj aż ci uszy oberwe!

Zdarzyło się właśnie, że przez przedpokój przechodziła panienka, którą Józik widywał czasem, gdy wychodziła z kamienicy lub wsiadała do karety. Usłyszała ona słowa lokaja.

— Kogo tam Walenty łaje? — zapytała.

— Jakiś żebrak. Zachciało mu się herbaty i nawet przyniósł sobie dzbanek, co w nim będzie z kwarta.

— Niech go Walenty wypuści.

— E, to proszę panienki, nigdy nie warto takich włóczęgów przywabić.

— Ale może to nie włóczęga. Proszę drzwi otworzyć.

Walenty mrucząc otworzył drzwi i panienka ujrzała Józika bladego, z zalaną łzami, wychudłą twarzą, z pustym dzbankiem w ręku.

— Ja tego chłopca już nieraz widziałam — rzekła panienka — ty tu mieszkasz gdzieś blisko?

— W tym samym domu... w pokoju na strychu...

— Aa... to stamtąd przychodzi pies czarny z białymi łapami! — ozwał się lokaj.

— Tak proszę pana.

— To czemuż nie gadał, że ty nie jesteś żaden włóczęga, tylko, że ten Fidelek to twój?

— No chodź — zawołała panienka — dam ci herbaty.

Kazała wprowadzić chłopca do przedpokoju i wybiegła z dzbanuszkami. Wkrótce Józik usłyszał rozmowę, między jakąś widocznie starszą osobą i panienką. Głos starszej osoby mówił:

— Co ty robisz z tym dzbankiem?

— To dla biednego chłopca nalewam herbatę — odparła panienka.

— Dla jakiego biednego chłopca? Cóż tam znowu wymyśliłaś?

— Prosi tylko o trochę herbaty.

— Gdzież on jest?

— Stoi w przedpokoju.

— Zostawiasz jakiegoś żebraka w przedpokoju, a on może tam w tej chwili ściąga futra i okrycia z wieszadła. Taki obdartus to umyślnie gotów przyjść z prośbą o herbatę dla chorej matki czy babki, dla tego tylko żeby ludzi okradać.

— O nie, mam, ja tego chłopca widuję, często chodzi z czarnym pieskiem...

— To cóż, że go widzisz? Pewno taki sam nie do brego jak ci, co żebrzą po ulicy i biegną pół wiorsty drogi, opowiadając różne kłamstwa o swojej niedoli! Zadzwoni na Walentego i powiedz mu, żeby obejrzał czy nie brakuje czego w przedpokoju.

Józikowi krew uderzyła do głowy. Miano go w tym domu za złodzieja! Uchiał wyjść, chciał uciekać, żeby takich strasznych oskarżeń nie słuchać, ale mu stanęła przed oczami biedna, chora staruszka, żądająca ciepłej herbaty. Przysunął się więc do samych drzwi i stał tam z rozżalonym sercem.

— Na żebraka wyszedłem! — myślał z goryczą. — Tak, na żebraka, ale nie żebrzę dla siebie, o nie, wolałbym raczej z głodu umrzeć! Tylko dla niej, dla mojej kochanej opiekunki uczynię wszystko, nawet żebrać jestem gotów!

Wkrótce panienka uprzejmie uśmiechnięta weszła z pełnym dzbankiem herbaty i pakietem owiniętym w gazetę.

— Masz, moje dziecko.

Józik wziął dzbanek i dziękując, zabierał się do wyjścia.

— Weź i to, chłopcze — rzekła panienka. — Tu jest chleb, bułki i parę ciastek.

— Tegobym nie chciał brać — odparł Józik, którego żołądek wołał głośno: „weź! weź!” a którego duma mówiła poważnie: „nie bierz, nie bierz!”

— Weź, może jesteś głodny.

Józikowi, który się od płaczu wstrzymywał, lzy potoczyły się nagle po twarzy.

— Głodny jestem — rzekł, spoglądając zapłakanymi oczami na panienkę — ale nie jestem złodziejem! Nie zgina rzeczy z przedpokoju, do którego ja wejść.

— Ja wiem, moje dziecko... przecie ja znam ciebie i twojego pieska... weź ten chleb i przychodź zawsze, gdy jesteś głodny... Widzisz, mojej matce chłopiec, który utrzymywał, że ma sparaliżowaną babkę, ukradł raz bardzo drogie futro, więc teraz się boi i podejrzewa ciebie... ale ja wiem, żeś ty dobry. No idź, idź, bo ci herbata wystygnie!

Józik pocałował panienkę w rękę i skoczył co tchu na górę. Pani Warbickiej herbata bardzo smakowała.

— Jakaś bardzo dziś dobra — mówiła do Józika. Chłopiec miał i dla siebie śniadanie, bo w pakiecie od panienki z pierwszego piętra była nawet szynka i serdelek.

— Ale już tam nie pójde — mówił sobie Józik w zamyśleniu — strasznie przykro prosić o wsparcie! Panienska dobra, ale starsza pani podejrzliwa, a lokaj gotów mi naprawdę kiedy za drzwi wyrzucić. Po zaspokojeniu głodu, począł teraz spokojniej rozmyślać. Przypomniawszy sobie, że Piotrowa była mu winna za rozmaite sprzedane jej przedmioty po śmierci ojca, i postanowił teraz, kiedy był w ostatecznej biedzie, upomnieć się o należące mu się pieniądze. Poszedł tedy do Piotrowej.

Przyjęła go jak zwykle utyskiwaniem na Walka, który nawet ją samą okradał. Musiała wszystko przed nim chować, bo był to już teraz złodziej niepoprawny. Bardzo się zmieszała, gdy Józik przypomniawszy jej swój dług, bo zapomniała już o nim zupełnie i dopiero po jakimś czasie przyznała, że to Józik mówił było prawdą. Ale się targowała, mówiła, że przedmioty kupione nie były tyle warte, co ona za nie zapłaciła.

— Przecieżeście nie mi nie zapłacili! — zawołał żałośnie Józik.

— Alem obiecała, to wszystko jedno jakbym zapłaciła!

— Nie, nie wszystko jedno, bo mnie te pieniądze konieczne są potrzebne, a ja ich nie mam!

— Nie mam pieniędzy i kwita!

Józik poczuł się tak rozgniewanym i tak oburzoną na Piotrowę, że jakaś odwaga męska w niego wstąpiła, choć był takim dzieckiem jeszcze.

— Oddacie mi te pieniądze — rzekł spokojnie i stanowczo, a nie, to was pedam do sądu. Usługuję u trzech studentów uniwersytetu, oni mi poradzą jak mam o swoją własność się upominać i muszę odebrać to, co mi pani winna.

Na te słowa Józika, Piotrowa wpadła w straszną złość.

— A, ty niedobrego! — krzyczała. — To i ty jeszcze przychodzisz mnie okradać? Toś ty taki sam nicpoń, jak Walek? Jak ja porwę na ciebie ożoga, to ty dobre siniaki poniesiesz do twoich studentów, co mi niemi oczy wypiekasz!

Józik przed groźbami Piotrowej stał spokojny z zaciętymi ustami.

— Więc dobrze — rzekł — będziemy się prawować! I niech pani pamięta, co mówię, że odda mi pani wszystko co do grosza, i jeszcze wstydu się pani naję!

Skierował się ku drzwiom spokojnie, co okropnie Piotrowę zastanowiło. Przestraszyła się groźb z takim spokojem wypowiedzianych. Wybiegła za Józikiem, wołając:

— No, wróć się ty paniczku jakiś! Tobie się zdaje, że jesteś coś bardzo ważnego! Widzicie go, frant jakiś! Chodź, zabieraj co mam w domu!

Wyjęła z kuferka zatłuszczonego rubla i rzucając go Józikowi, zawodzić poczęła:

— Ostatni grosz ten niedobrego mi zabiera! dziecko rodzone mię okrada i ten mię okrada!

Józik wziął rubla, ale swej radości nie okazał i spokojnie się odezwał:

— Pani mi była winna dziesięć rubli, a że mi pani oddaje dziś rubla, więc zostaje jeszcze dziewięć rubli, które mi pani też odda co do grosza, bo inaczej do sądu pójdziemy!

— Widzisz go, jak się to rachować nauczył! Ja ci tu dam rachunek!

— Przyjdę pojutrze po resztę pieniędzy.

— On mi tu będzie wygrażał! On mi tu będzie...

Józik nie słuchał dalej. Miał rubla w kieszeni; to było na życie dla pani Warbickiej i dla niego, na jakie dwa dni. A za dwa dni znowu trzeba będzie iść do Piotrowej.

— Jednak niedziwota, że z tego Walka taki hul-taj — myślał, biegnąc ku domowi. — Nie daleko jabłko od jabłoni pada.

Ledwo to sobie pomyślał, aż tu Walek, widocznie wracający do domu, jakby wyrósł przed nim z ziemi na zakręcie ulicy.

— Aha, już cię dawno nie widziałem! — ozwał się. — Coś jakoś na tem państwie mizernie wyglądasz!

— Na jakim państwie?

— No, boś całkiem spał przy tej starej. Siedzisz sobie, nic nie robisz, na książkę czytasz... ha, ha, ha!

Było w śmiechu Walka coś bardzo nieprzyjemnego; obdarty był i brudny, na twarzy miał czarne smugi, jak gdyby ze trzy dni się nie mył.

— Widzę, że mi się przyglądasz — mówił dalej Walek — juźci, że nie mam takiego odzienia jak ty, co u tej starej masz wszystko gotowe. Pokaż no z jakiego to materiału masz ubranie?

Przybliżył się do Józika i zaczął go klepać po ramieniu, dotykać ubrania, przypatrywać się.

— Ty niedługo na takiego pana wyjdiesz, co to karetą jeździ! No, bądź zdrow! Jak mię kiedy cała bieda przycisnie, to przyjdę do ciebie poprosić o rubelka.

I pobiegł dalej. Józik poszedł też w swoją drogę, rozmyślając, jaki ten Walek był zły i obrzydliwy.

Chciał zajrzeć do pani Warbickiej, czy czego nie potrzebuje, a potem dopiero pójść kupić herbaty, cukru, węgla, nafty, mleka i parę bułek. Wylczył, że mu rubel wystarczy na zakupienie wszystkiego tego potrochu.

Pani Warbicka kaszlała jak zwykle, i niecierpliwie wy-czełkiwała Józika, bo pragnęła, by jej chłopiec łóżko przesłał.

Józik z trudem przeprowadził staruszkę na fotel, a że miał sił mało, więc aż się ugiął pod jej ciężarem; potem strząsnął siennik, przewrócił materac, poduszkę przetrzepał i znowu przeprowadził ją, prawie przeniósł na łóżko. Aż mu grube krople potu na czoło wystąpiły, przed oczami ciemno się zrobiło, serce biło jak młotem. Usiadł na sofce żeby trochę wypocząć i zaraz zaczął myśleć o tem, że trzeba biedz po mleko, którem chora żyła. Wstał wkrótce z sofki i choć czuł, że się nogi pod nim trzęsą, jednak postanowił wyjść zaraz po sprawunki. Wziął starą portmonetkę i chciał włożyć w nią zatłuszczonego rubla Piotrowej. Zaczął go szukać w kieszeni, w którą go włożył i nagle cała krew buchnęła mu do twarzy. Szukał coraz to niespokojniej, coraz to gorączkowiej; szukał w drugiej kieszeni i trzeciej. Wszystkie były puste. Józik wydał okrzyk trwogi i rozpacz i czując, że się na nogach chwieje, rzucił się z jękiem na sofkę.

Pani Warbicka otworzyła oczy, zwróciła głowę ku Józikowi i widząc go bladego jak ścianę, poczęła wołać przerażonym głosem:

— Józiku, moje dziecko, moje najdroższe dziecko! O, Boże, czemu nie zabierzesz mnie, która mu jestem tylko ciężarem, a jego nie wyrwiesz z tej nędzy! Józiku, Józiku!

Pani Warbicka w przestrachu i wyobraziwszy sobie w swej skołatanej głowie, że Józik umiera, nie obliczyła sił swoich. Podniosła się, zwlokła z łóżka i parę kroków naprzód postąpiwszy, upadła na podłogę z krzykiem. Leżąc, kaszel dusić poczęła.

Bosy, który już przy pierwszym krzyku Józika skoczył ku niemu i trzymał łapy wprost na piersiach chłopca, skomlając żałośnie, teraz przybiegł do pani Warbickiej, kręcił się koło niej niespokojnie, lizał jej ręce i nogi, wreszcie zabrał się do lizania twarzy. Widząc jednak, że to nie pomaga, począł zębami szarpać za koszulę, która była stara i darła się wszędzie, gdzie zęby Bosego ją pociągnęły. I ten sposób

nie nie pomagał, Bosy więc skoczył ku drzwiom, położył łapy na kłamce, otworzył i skomląc skoczył na schody. Kilku rozpaczliwymi susami dostał się do drzwi kuchni państwa z pierwszego piętra i tak niespokojnie drapać w nie począł, że Wojciechowa siedząca wygodnie na krześle, obierając kartofle, zawołała:

— A cóż tam temu psu się stało? No, czekaj ty kurlaczu, otworzę ci, bo mi dziurę we drzwiach wydrapiesz!

(d. c. n.)

## W OTCHŁANIACH MORSKICH.

PRZEZ

Dr. M. Stefanowską.

(Dalszy ciąg).

Pamiętajmy jednak, że w wielkich otchłaniach morskich żyją także zwierzęta, mające oczy doskonale rozwinięte. Zauważono też, że u tego samego gatunku, oczy były w rozmaitym stopniu zanikania, zależnie od głębokości morza.

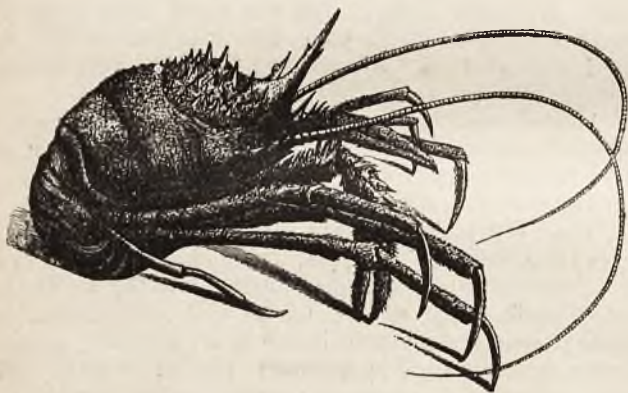


Fig. 158. *Galathodes*, ślepy rak znaleziony w otchłani morskiej 4000 metrów głębokości.



Fig. 159. *Hapalopoda investigator*. Rak z nadzwyczajnie długimi wąsami, żyje w otchłaniach morskich 2000 m.

kompletne, a raki tegoż gatunku, pochodzące z głębin jeszcze większych, były zupełnie ślepe, jak np. *Galathodes*, (fig. 158).

Ale zauważono jednocześnie, że owe ślepe raki, były to zwierzęta mało ruchliwe, wolno pełzające po dnie, albo nawet zagrzebujące się w mule w oczekiwaniu na zdobycz, którą chwytają swymi długimi kleszczami.

Przeciwnie, raki bardzo zwinne, szybko pływające w otchłaniach, jak np. *Hapalopoda* (fig. 159) wzrok swój zachowały i mają oczy ogromne a prócz tego opatrzone są niezwykle długimi wąsami, które są nader czułym narzędziem dotyku; długie a cienkie ich nogi odbierają wrażenia tegoż rodzaju.

To cośmy powiedzieli o rakach, da się zastosować i do ryb. Są to zwierzęta doskonale pływające, dlatego też ślepe ryby w otchłaniach są wielką rzadkością, a przy doskona-

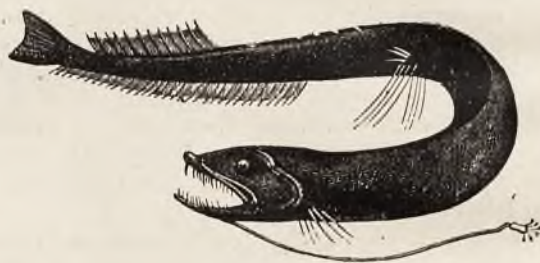


Fig 160. *Eustomias obscurus*, długi wąs jest narzędziem dotyku.

le rozwiniętych wielkich oczach, ryby posiadają zarazem właściwe sobie nitkowate przysadki, nader czułe na dotyk; przysadki takie widać u ryby *Eustomias* (fig. 160) *Bathypterois* (fig. 161) i innych, których wizerunki podaliśmy poprzednio. Widzimy tedy że, zwierzęta czynne, trudniące się wciąż polowaniem, zachowały nawet w otchłaniach dobry wzrok i zarazem dobrze rozwinięte narzędzia dotyku.



Fig. 161. *Bathypterois*, para wydłużonych promieni płetwowych, służy za narzędzie dotyku.

Mówiliśmy wyżej, że oczy u wielu zwierząt marnieją i zanikają od długiego przebywania w ciemności. Jeżeli przeto niektóre gatunki raków oraz liczne ryby głębinowe oczy swe zachowały, to przypuścić trzeba, że oczy służą im do patrzenia. A zatem dno morskie w braku światła słonecznego musi posiadać inne jakieś światło, niezbędne dla oczu mieszkańców otchłani. Zkąd pochodzi owo światło?

Z poprzednich rozdziałów, wiemy z jaką łatwością zwierzęta morskie promieniają z siebie światło. Kubek świeżo zaczerpniętej wody morskiej połyskuje tysiącami iskier, gdy poruszać nią w ciemności. Rzucony w powietrze pęk wodorostów staje się świetnym fajerwerkiem. Mnóstwo drobniuchnych roślinek i mikroskopijnych zwierzątek iskrzy się przy najlżejszym ich dotknięciu; świetliczki sprawiają wspaniałe iskrzenie się morza na wielkich obszarach. Meduzy, solpy, iskrzyludy, często promieniają silnym światłem; gdy uciąć ramię gwiazdzie morskiej, to obie powierzchnie przeciętego ramienia świecą się natychmiast; podobnież zra-

Tak np. znajdowano niektóre raki z doskonale rozwiniętymi oczami; też same raki, złowione głębiej, miały oczy już nie-

nione pierścienice, gdy pływają, to pozostawiają za sobą, świetlany ślad, niby drogę mleczną; jest to świecący płyn, który wycieka z ich rany.

Widzimy przeto z jaką łatwością zwierzęta morskie stają się iskrzącymi; własnością tą w najwyższym stopniu obdarzone są zwierzęta pelagiczne oraz głębinowe. Gałązki polipów, gwiazdy morskie, pierścienice często rzeźbiście oświetlają sieć całą, wyciąganą z głębin morskich; przypominamy sobie także, że przy świetle gąsiołów (*Mopsea*) można było czytać w nocy książkę. Dodajmy na koniec, że namul morski przepelniony jest żywymi pierwotniakami, które prawdopodobnie łatwo świecą, tak jak pokrewne im zwierzątka, pływające po powierzchni morza.

Jeżeli tak jest w istocie, to dno otchłani morskich powinno się świecić na wielkich obszarach, podobnie jak iskrzy się często powierzchnia morza. Coprawda, światło zjawia się na powierzchni wtedy, gdy woda jest w ruchu; zwykle najsilniej iskrzą się grzbiety fal oraz ich brzegi, biegnące śladem okrętów. W otchłaniach zaś panuje cisza; jednakże nie brak ruchu tam, gdzie żyje tyle stworzeń, a każde zwierzątko, gdy pływa lub chodzi, prawdopodobnie rozprasza dokoła siebie promienie światła. Gdy przypuścimy, że głębin morskie na wielkich obszarach oświetlone są słabym chociażby światłem, to jedynie wtedy zrozumieć możemy, dlaczego w nich żyje tyle zwierząt, które nie straciły swego wzroku.

(d. n.)

## NIEDZWIEDŹ

POWIEŚĆ Z XVI WIEKU

p. Zuzannę Morawską.

(Ciąg dalszy).

Lecz mimo na pozór łaskawych wyrazów, dźwięk jej mowy był tak przykry i syczący, że Fogelfeder mimowoli podniósł na nią oczy i zadrżał, jak gdyby przed obietnicą groźby i najsroższego gniewu.

Bona wyszła szybko z izby, trzasnąwszy własnoręcznie drzwiami, które służebna chciała przed nią otworzyć.

Kazik tymczasem powoli zapadał w jakiś sen gorączkowy, twarz mu nabrzmiała, a oczy błyszczały niezwykłym, chorobliwym blaskiem.

Fogelfeder był w rozpacz; zmieniał bezustannie leki, które jednak niewielką przynosiły ulgę.

Nie mógł też poświęcić się mu wyłącznie, bo królowa, która nieraz całymi tygodniami nie widziała nadwornego lekarza, dnia tego wzywała go co chwila. To kazała mu badać przy sobie królewicza, czy przestrach nie wywarł złych skutków, to ją właśnie zabolał palec i musiał go balsamami okładać, to pytała go o aurę i możliwość jej zmiany, słowem, odrywała go z izby Kazika pod rozmaitemi pozorami.

Młody lekarz miał doskonałego zastępcę z Ciemnosą, który mrucząc ciągle niechętnie, pilnował jednak chorego i nie dopuszczał nikogo, zasłaniając wejście swoją olbrzymią postacią.

Zygmunta nudziły te oględziny, że zaś lubił swego lekarza, żartował z nim w braku Niedźwiedzia; rad był jak najdłużej go zatrzymać.

Pytał zaś troskliwie:

— Co Niedźwiedź robi?

— Śpi — odpowiadał lekarz.

— Kiedy będzie zdrow?

— Bóg tylko wie o tem.

— Ale waszmość go wyleczy? — zapytał z pewnym niepokojem królewicz.

— Staram się, lecz życie człowieka jest w ręku Boga — odrzekł lekarz, który od chwili odwiedzin królowej, sam zwątpił o wyzdrowieniu młodzieńca.



Fig. 162. Zwierzęta żyjące w Atlantyku na głębokości 2500 m. 1) Meduza, 2) Ryba, *Malacosteus niger*. 3) Gąbeżak podobny do tiulu. 4) Gąbeżak koronkowiec. 5 i 6 Raki. 7) Pająk (*Colossandei Titan*). 8) Pierścienica (robak). 9 i 10 Strzykwki pelzające. 11) Meduza.

— Biedny Niedźwiedź, cierpi przezemnie! — zawołał z całą serdecznością Zygmunt. To mój prawdziwy przyjaciel, on mnie zawsze broni! — dodał.

— Dziś wieczorem wyjedziemy! — rzekła Bona nagle, przysłuchując się rozmowie syna.

— Nie możemy go zabrać, a czekać też nie będziemy! — odrzekła.

— Ależ ja bez Niedźwiedzia nie pojadę! — zawołał Zygmunt.

Królowa nie zwróciła nawet uwagi na odezwanie się syna, poczęła tylko przywoływać rozmaite osoby, wydając jak zwykle rozkazy, dotyczące się wyjazdu.

Nadaśanego królewicza zabrał ochmistrz, a lekarz korzystając z zamieszania, jakie tworzyły osoby wchodzące i wychodzące z rozkazu Bony, wymknął się do Kazika.

— Najjaśniejsza pani, mroz nagle zelżał, deszcz zaczyna padać, a noc zapowiada się ciemna... — przekładał Bassaty.

— Pochodnie oświecą drogę! — odrzekła stanowczym głosem Bona.

Nie było rady, trzeba się było zbierać do drogi.

Wozy miały wyjść za godzinę, królowa zaś z synem i przybocznym dworem postanowiła wyjechać zaraz po zachodzie słońca i wieczornym posiłku.

Nikt jednak nie wiedział, dokąd miano jechać, zbierano się tylko jak można najprędzej. Przekroczenie bowiem rozkazu, groziło wydaleniem ze dworu, a każdy mimo ciężkiej służby, trzymał się pańskiej klanki, mając nadzieję przy wielkim ogniu, tłustą pieczeń dla siebie upiec.

Aura tylko jedna nie bała się nikogo i znikim się nie liczyła. Mroz nagle w nocy kark skreślił, rankiem zawisła nad światem mgła gęsta, a teraz oto otworzyły się upusty niebieskie i deszcz wielkimi strumieniami zalewał przestworze. Brudził on śnieg jeszcze wczoraj tak biały i spłukiwał go z wielkim hałasem i szumem z drzemiącej pod jego powłoką ziemi.

Zrobiło się też tak ciemno, iż chociaż jeszcze było daleko do zachodu słońca, musiano rozniecić większy ogień na kominie i zapalić olejną lampę w komnacie królowej.

Mimo to Bona nie cofnęła rozkazów do wyjazdu.

Wtem deszcz przestał, lecz zrobiła się noc zupełna, groźna chmura wiosenna nadciągnęła, a wśród ciemności niebo nagle się rozdarło oślepiającem światłem, zahuczał w dali grom i począł rzucać piorunami, prawie wprost w okna komnaty królowej.

— Cielo! Misericordia! — wołała Bona.

Drżąc z przestachu padła na kolana w najciemniejszym zakątku komnaty i głośno zanosiła modły, wśród których robiła postanowienia złożenia bogatego wotum, w jednym z najbliższych kościołów, jeżeli ją Bóg od pioruna uchroni raczy.

Burza trwała bardzo krótko, niebo się nieco wyjaśniło, lecz deszcz lał jak poprzednio. O wyjeździe nie można było nawet myśleć!

Z tem wszystkiem chociaż o świtanie jeszcze deszcz drobny padał, Bona zbudziła dwór, kazała przywołać Bassatego, dała mu rozkaz tajemny, w którą stronę ma ruszać z wozami i gdzie nocleg przygotować. Mimo też popsutych i powyrwanych dróg, około południa królowa wraz z synem i całym dworem opuściła Knyszyn. Jakież jednak było zdziwienie oworu, gdy się dowiedziano, że mają się kierować z powrotem do stolicy.

— Jakto nie pojedzieciey do Wilna?—zapytał Zygmunt.

— Do Krakowa! — odrzekła sucho matka.

I nic nie pomogło, mimo niezadowolenia królewicza, wracano tą samą drogą, którą przebyć musiano wśród najokropniejszych wybojów w rozmiękłym śniegu. Saniami trudno było przejechać, na kołach jeszcze gorzej; kołebka królewska wlokła się, podtrzymywana z obu stron przez czterech dzielnych hajduków.

Królowa jednak nie narzekała, owszem, z pewnem rozradowaniem znosiła trudy. Lecz dla młodego króla podróż ta tem więcej była przykrą, że Niedźwiedź musiał pozostać pod opieką zarządzającego dworem knyszyńskim.

Fogelfeder zapytany przy wyjeździe co myśli o chorym, odrzekł wymijająco, jak zwykle:

— Wszystko w rękę Boga!

W oczach królowej błysnęła źle ukryta radość; królewicz zaś szczerze się zaszepił i rzekł:

— Poczciwy mój Niedźwiedź, mnie ocalił, a sam może zginie!

Lecz siniora zaczęła zaraz coś ciekawego opowiadać, ażeby zagłuszyć szlachetne porywy swego młodego pana i stłumić w nim wszelkie serdeczniejsze objawy.

Tłumiono tak w królewicu nietylko w podróży, lecz i po przybyciu do stolicy wszystko, co go mogło do czynu popchnąć, ducha zahartować i zespolić z narodem, który go sobie tak wcześniej przysposobił za pana.

W Krakowie życie popłynęło dawnym torem. Chmury zbierały się nad krajem, lecz o chmurach tych, jak w ogóle o sprawach państwa, młody król nie wiedział. W ogóle też do Zygmunta dochodziły tylko pieśni i muzyka, nie zaś odgłosy surmy wojennej i spraw, któremi przyszły król powinien się być zajmować.

Wprawdzie Opaliński starał się rozbudzić w królewicu najszlachetniejsze uczucia, znosił nawet dużo upokorzeń i przykrości, byleby wytrwać na stanowisku i spełnić obowiązek, który nań włożył król ojciec i radni panowie.

Wpływ jednak zacnego ochmistrza zacierał się wpływami dworu królowej matki. To też w sercu Zygmunta Augusta dziwna panowała rozterka; kielkujące szlachetne porywy, chęć czynu i rycerska natura odziedziczona po Jagiellonach, prowadziła bezprzebraną walkę z miękkiem, delikatnem wychowaniem, jakie dawała mu Bona.

Po powrocie do stolicy, Zygmunt pytał często o Niedźwiedzia, żądał o nim wieści, posyłał nawet do Knyszyna ażeby się coś o swoim ulubieńcu dowiedzieć, lecz usiłowania jego w tym celu były daremne. Z początku mówiono mu, że Niedźwiedź jeszcze chory, potem łudzono, że wkrótce powróci, wreszcie wysłany goniec przyniósł wieści, że strzelec królewski wyzdrowiał i wyjechał. Dokąd, nikt nie umiał powiedzieć.

Raz jakoś już w jesieni, królewicz z ochmistrem i niewielkim pocztem przejeżdżał ulicą św. Anny, wtem wykrzyknął nagle z radości i konia zatrzymał. Cały poczet stanął a Zygmunt zawołał:

— Biegnijcie za tym chłopcem, co skreślił w boczną ulicę.

I wskazał ręką na lewo.

Ochmistrz zmarszczył brwi niechętnie, lecz dworzani pogalopowali spełnić wolę królewicza.

Ten jechał stępą, po chwili konia zatrzymał, a przed nim stanął młodszy syn kasztelana zakroczymskiego.

— Toś ty w Krakowie, a nie przyjdiesz do mnie!

Marcin, który wyrósł i zmężniał, skłonił się układowi i rzekł:

— Nie miałem rozkazu waszej królewskiej mości.

— Więc teraz ci rozkazuje, żebyś przyszedł dziś jeszcze — rzekł Zygmunt.

I zaraz jednym tchem zapytał:

— A Jędrus, Piotruś?

— Jędrak i Piotruś są też w Krakowie, jeno Piotrek jest w szkole Panny Maryi, a ja i Jędrak weszliśmy do akademii — odrzekł kasztelan.

— A Anusia? — pytał królewicz.

— Doma u ojców — rzekł Jędrus i westchnął, bo przypomniał sobie zmarłą siostrę.

— O Niedźwiedziu nie wiesz?

Jędrus zarumienił się po same uszy, spojrzał z jakimś żalem na królewicza i rzekł:

— Nic nie wiem!

— Niedźwiedź gdzieś przepadł, ani go odnaleźć! — zawołał Zygmunt.

Wtem ochmistrz zaczął nagle do powrotu.

— Przyjdźcie do mnie wszyscy trzej. Rozkażę, to zaraz was wpuszczą! — rzekł królewicz, odjeżdżając.

Z przybyłymi nazajutrz kasztelaniami nie mógł się dość nacieszyć. Wypytywał ich o Zakroczym, o Anusię i o Niedźwiedzia, ale ilekroć o niego zapytał, chłopcy czerwienili się i na co innego skracali rozmowę.

Królewicz prawie rok cały rozsyłał w rozmaite strony, ażeby się cośkolwiek o swym ulubieńcu dowiedzieć, płacił, gniewał się; sprawa oparła się o samego króla; nawet Bona wrzekomo wzięła ją do serca, wszystko jednak nie nie pomogło, Niedźwiedzia jak nie było, tak nie było!

## XV.

Upłynął rok z górą od opisanych wypadków.

Nad krajem zaczęły się zbierać groźne chmury, a intrygi i knowania Bony zawiechrzyły wewnętrzny spokój i zgodę. W intrygach tych dopomagał jej Piotr Kmita, pan możny, słynący z bogactw, wielkiej ogłady ale też i nader przewrotnego charakteru. Dwór królewski, który dotąd dawał dobry przykład krajowi, stał się widownią scen gorszących, przekupstwa, a nawet i zbrodni.

Włoszka rzuciła cień na gniazdo Jagiellonów.

Starego króla martwiło to wszystko niepomierne, lecz nie miał dość siły, aby samowolę Bony ukroić.

Wśród trosk wszystkich osłoda mu był ukochany jedynak, w którym pokładał nadzieję.

Myślał też sobie:

— Niechno Zygmunt August dorośnie i obejmie rządy, wtedy złe naprawi, a młodą swą dłoń samowolę ukroić.

Głównym doradcą króla i podporą w troskach był Jan Tarnowski, który w r. 1527 mianowany hetmanem, silną dłońią dzierżył bulawę i w każdej potrzebie nie tylko piersią lecz i wielkim umysłem kraj od złego ochraniał. Często też wraz z Opalińskim oraz panami radnymi zastanawiał się, jakby młodego króla usunąć z pod wpływu dworu królowej, wdrażać go powoli w inne życie, zahartować tak umysł jako i ciało do trudów, jakie go w przyszłości czekały.

— Waszmość staraj się umysł przygotować, ja go wojennej sztuki nauczę — mówił hetman poufnie do pana Piotra...

— Wszystko uczynię, co można, lecz wiecie, mości hetmanie...

— Wiem, wiem, lecz tem więcej trzeba baczyć na wszystko — odpowiedział tenże.

— Szkoda nam Niedźwiedzia, chłopak to wysokich zdolności, w niejednym byłby nam pomocny! — mówił Opaliński.

— Lecz byłby tych zdolności nie rozwinął, i wśród dworskiego życia zmarniał do szczytu — odrzekł hetman.

Oprócz zaś trosk wewnętrznych, spadł jeszcze na kark Rzeczypospolitej nieprzyjaciel, którego się jakoś wtedy nie spodziewano. Roku 1531 Piotr, wojewoda wołoski złożył hołd Solimanowi, sułtanowi tureckiemu, a mając jego plecy za sobą, najechał Pokucie i zagony swoje aż do Halicza rozszerzał.

— Boga-mi, zanadto tego! — zawołał hetman i z wielkiem pospiechem szykował chorągwie, pod które młódź ciągnęła ze wszystkich stron kraju.

Nagle przyszła mu myśl, z którą niezwłocznie do króla się udał.

— Miłościwy królu, panie nasz i ojciec, mam wielką prośbę! — rzekł, obejmując monarchę za kolana.

— Mówcie, hetmanie — rzekł król łaskawie.

— Pozwól najjaśniejszy panie Zygmuntowni Augustowi, przysłemu królowi, pójść z nami na wojnę!

— Ba, czemu nie, toć to rycerskie a więc i królewskie rzemiosło — odrzekł król.

Lecz w tej chwili, jak gdyby sobie coś nagle przypomniał, zawołał:

— Toć to jeszcze dzieciuch!

— Dwanaście lat bez mała, a młodszy przecie szadzał — rzekł, nie ustępując hetman.

— Toć i miecza nie udźwignie... — bronił się król.

— Broń stosowną do swego wieku i wzrostu ima dzielnie, a też na duchu i rycerskim animuszu wcale mu nie zbywa; — mówił stanowczym głosem Tarnowski.

Król na tę pochwałę uśmiechnął się z zadowoleniem i szepnął do siebie:

— Moja krew, mój jedynak!

Hetman tymczasem ciągnął dalej:

— Do walki przecie nie stanie, a strzedz go będziemy jak własnej żrenicy.

— Tak to wygląda delikatnie, a i matka też nie rada się ze swym jedynakiem rozstawać — mówił król powoli, jakby walczył sam ze sobą, a myśl ciężka głowę jego trapiła.

— Właśnie też, że delikatnie wygląda i narowi krew rycerską w niewieściem wychowaniu, trzeba, żeby innego życia pokosztował — nastawał dalej Tarnowski.

Król milczał, przebijając palcami po stole, a hetman skłoniwszy się do jego kolan, rzekł:

— Nie odmawiaj nam miłościwy królu, idzie tu o przyszłość waszego syna, o przyszłość całego narodu, który nań oczy ma wciąż zwrócone.

Zygmunt, stary, potarł ręką po czole, jak gdyby chciał zeń spędzić osiadłą na nim troskę, a potem rzekł:

— Wiecie, jabym pragnął...

I przerwał nagle.

— Królowę postaramy się przyjaźnie ku temu usposobić i pozwolenie wyjednać — ozwał się Tarnowski, wchodząc w ukrytą myśl zafrasowanego monarchy.

Zygmunt podniósł wzrok na mówiącego i spytał niedowierzająco:

— Zdołacie?

— Otrzymałszy pozwolenie waszej królewskiej mości, spróbuję.

— Ha, próbujcie! — rzekł król z uśmiechem.

I dodał dobroduszenie:

— Radbym, żeby mój chłopak przewietrzył się trochę. Hetman skłonił się znów do kolan królowi. W tym ukłonie jednak nie było przesadnej uniżoności dygnitarza, chcącego sobie zjednać łaskę monarchy, lecz serdeczne, pocziwe synowskie uczucie, które rzeczywiście dla zniedołężniałego nieco króla, gorzało w piersi hetmana.

Po wyjściu z królewskiej komnaty, spotkał się Tarnowski z Kmitą. Na widok stronnika królowej, nagle jakaś myśl błysnęła na twarzy hetmana. Nie lubili się oni wzajem, chociaż byli spokrewnieni, na ten raz jednak hetman nie zбочzył z drogi na widok Kmity, lecz uśmiechnął się do niego przyjaźnie.

Kmita spostrzegł ten uśmiech i z całą dworską grzecznością stanął w pełnej uszanowania postawie i oczekiwał, aż przyjdzie starszy od niego laty i godnością hetman.

Ten zaś bez wszelkiego wstępu rzekł:

— Jest sprawa, o której z waszmością chcę pomówić.

— Do usług! — skłonił się Kmita.

I począł przyciszoną rozmowę, idąc wzdłuż korytarza, wiodącego do komnat królowej.

Tarnowski mówił, Kmita słuchał uważnie, czasem rzucił jakieś słowo, w miarę zaś rozmowy, twarz jego z natury piękna, przybierała czasem wyraz chytry a oczy starały się przeniknąć do głębi myśli hetmana.

Rozeszli się w najlepszej, pocziwej zgodzie, zachowując układność i grzeczność dworską, jak przystało na ludzi zajmujących wysokie stanowisko tak na dworze, jako i w całym kraju.

Co zaś Kmita mówił z królową, pozostało tajemnicą. Dość, że gdy nazajutrz przedstawiono jej, aby pozwoliła synowi wyjechać z obozem na potrzebę wołoską, chętnie się zgodziła.

Królewicz nie posiadał się z radości. Oddalenie od dworu, życie inne, jakie wśród dotąd pociągało umysł młodzińca, chciwego coraz to nowych wrażeń i budzącego się do życia, które powinno być jego udziałem.

— Może gdzie po drodze Niedźwiedzia spotkamy? — mówił do ochmistrza.

— Może — odrzekł tenże z uśmiechem.

Jakież rzeczywiście było jego zdziwienie i radość, gdy zaraz na pierwszym noclegu, Kazik przystąpił powitać swego pana.

Rok przeszło zrobił ogromną w nim zmianę. Wyrósł, zmężniał, szerokie barki oznaczały siłę i zdawały się mówić:

— Biada temu, kto wejdzie mi w drogę!

Ubrany był jak żołnierz w obcisły skórzany kaftan, u pasa wisiał miecz nie dla kształtu, a twarz, na której runiały ciemne wąsy, oznaczała męstwo i odwagę.

— Niedźwiedź, kochany mój Niedźwiedź! — zawołał z nadzwyczajną radością Zygmunt.

I zapomniawszy o wszelkiej dworskiej etykiecie, rzucił mu się z radością na szyję.

— Co się z tobą działo? zdrow jesteś? czemuś do mnie nie wrócił! — pytał jednym tchem królewicz. — No mów! — nalegał.

— Poszedłem do chorągwi, ażeby czekać jego królewskiej mości — odrzekł wymijająco, rozradowany serdecznym przyjęciem Kazik.

— Oho, teraz się już nie rozłączymy! patrz, i ja jestem prawie tak samo jak ty ubrany, i ja jestem żołnierzem! — mówił żywo Zygmunt.

— Ale ja mam i broję, tylko teraz, podczas podróży nie trzeba jej nosić; włożę, gdy spotkamy nieprzyjaciela. A ty, czy masz broję? jeżeli nie, każę, żeby ci dali! — ciągnął dalej.

— Dziękuję waszej królewskiej mości, mam pół zbroiczkę — rzekł z pewną chlubą Kazik. — Ale również nie noszę jej w podróży, zaś potem, gdy będzie trzeba, przywdzieję! — dodał, zarumieniwszy się na myśl, że stanie wkrótce do walki.

— Ale jakież ty wypiękniał, jakie masz ładne wąsy — mówił królewicz, skubiąc maleńkie wąsiki swego ulubieńca. — I ja jak urosnę, będę miał wąsy! Zobaczysz, może mi już rosną! — dodał wydymając wargi.

Kazik przypatrywał się, lecz nie mógł ich dostrzedz. Dla pocieszenia jednak bardzo jeszcze dzieciennego młodego króla, odrzekł z uśmiechem:

— Jeno co ich nie widać, wkrótce urosną!

— Skąd wiesz?

— Bo, bo, i jego królewska mość urosł przez ten rok znacznie! — odrzekł zakłopotany nieco pytaniem Kazik.

(d. n.)

## Vasco de Gama.

Dnia 20 maja minęło lat czterysta, jak dokonaniem zostało przez marynarza portugalskiego Vasco de Gama, jedno z najwybitniejszych odkryć geograficznych, mianowicie — odkrycie drogi do Indyi Wschodnich morzem naokoło lądu afrykańskiego.

Już w r. 1487 Bartolomeo Diaz, również Portugalczyk dosięgnął południowego krańca Afryki i nazwał go przylądkiem Burzliwym (Tormentoso). Później z uwagi na nadzieje jakie w odkryciu tem pokładano, zmieniono tę nazwę na Przylądek dobrej Nadziei.

Chociaż obok wielkich braków w ówczesnych mapach morskich, zdawano sobie już sprawę z istnienia drogi morskiej do Indyi wschodnich, mimo to upłynęło jeszcze lat siedm od powrotu Diaza, zanim podjęto wyprawę dla zbadania tej drogi.

Po czteroletnich przygotowaniach, wypłynęły z Lizbony d. 8 lipca 1497 r. cztery okręty, wyekwipowane staraniem króla Emanuela Wielkiego.

Admirałem tej maleńkiej eskadry mianowany został Vasco de Gama, urodzony w r. 1469 w Sinez, a więc liczący wówczas zaledwie lat 28 wieku.

Dnia 25 lipca dosięgła eskadra wysp Zielonego przylądka, w październiku zbliżyła się do brzegów brazylijskich. W listopadzie już ujrano przylądek Dobrej Nadziei.

Okrażono go i puściwszy się w drogę ku północy, po uciążliwej żegludze wśród prądów kanału Mozambickiego, d. 23 stycznia dopłynęło do ujścia Zambezi. W porcie Mozambickim powitana wrogo, w Melindzie przyjaźnie, znalazła wyprawa w tej ostatniej miejscowości sternika arabskiego, który podjął się wskazać drogę do Indyi.

Dnia 24 kwietnia wypłynęła wyprawa znów na morze, a dnia 23 czy 24 maja 1418 r. okręty zawinęły do Calicutu na wschodnim wybrzeżu półwyspu Indyjskiego. Tu usłyszeli marynarze portugalczy w znanym jeszcze z ojczyzny języku arabskim powitanie: „Witajcie wszyscy! Ohwalcie Boga, Który was do najbogatszego kraju na ziemi doprowadził”.

Swoją drogą, Arabom wielce się nie podobało ukazanie się Portugalczyków w tych krajach, których handel z Europą spoczywał dotąd w ich rękach. Zaczęli więc stawiać rozmaite przeszkody, które Vasco de Gama nawet siłą oręża musiał usuwać.

Ostatecznie zamiarkowawszy, że posiada zbyt mało sił, gdyż ze 148 ludzi początkowej załogi wielu w drodze ubyło, postanowił ruszyć z powrotem.

Tu zaznaczyć należy wielce charakterystyczną okoliczność. Oto w drodze powrotnej z Indyi służył za sternika wyprawie, zabrany z Calicutu, żyd polski, rodem z Poznania, znający język włoski. — Niestety, historia nie przechowała nazwiska tego sternika.

Nareszcie d. 10 lipca 1499 r. pierwszy okręt wyprawy powrócił do Lizbony. Vasco de Gama, wstrzymany w drodze śmiercią brata, zawinął do tegoż portu d. 29 sierpnia.

Tytuł szlachecki, dostojęństwo admirańskie i pensja dożywotnia stanowiły nagrodę za jego trudy.

Droga morska do Indyi była odkrytą. Należało z niej skorzystać. Wkrótce Portugalczycy dokonali i tego zadania.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

**TREŚĆ:** Maryusz na ruinach Kartaginy (z ryc.) — Do dziewczeczki naszej, wiersz przez Lucyana Uziębło. — Dzielný chłopiec przez Zofię Kowerską. — W otchłaniach morskich przez dr. M. Stefanowską (z ryc.) — Niedźwiedź, powieść z XVI w. przez Zuzannę Morawską. — Vasco de Gama. — Dodatek: Przygoda żabki, wiersz przez M. B. — U cioci Polci (z ryc.) — Królowa poziomek i paproci, bajka czarodziejska przez Wacława Sulimę. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Juraś i Anulka, czyli historia rozbitek. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

# WIECZORY RODZINNE



## Przygoda żabki.

Dwie zielone żabki młode,  
Świeżo wyszłe na swobodę,  
Raz zdybały się przy stawie,  
W gęstej trawie.  
I wnet jedna drugiej skrzeczy  
Różne rzeczy.  
— Wiesz! odkryłam dzisiaj rano  
Dróżkę, piaskiem wysypaną.  
Pysnie się do skoków nada,  
Więc w podrygach zdążam rada.  
Wtem spostrzegam w swej podróży,  
Idzie człowiek, lecz nie duży,

Nie ten, który łowi ryby,  
O połowę mniejszy pewnie.  
Stopki żółte ma jak grzyby,  
Strój okrywa go powiewnie.  
A nad główką niby kłosa,  
Chwieją mu się jasne włosy.

Myślę zaraz, czy to aby  
Nie jest ludzkie dziecko sobie,  
Jak ja jestem dzieckiem żaby,  
Nim wyrosnę w letniej dobie.  
I wnet bierze mnie ochota  
Rówieśniczkę poznać ową;  
Człowiek, mądra to istota,  
Wskaże mi zabawę nową.

Więc gdy mija moją dróżkę,  
Ja jej z rowku hyc! na nóżkę...

Byłaż tam zabawa właśnie!  
Ta dziecina jak nie wrzaśnie:  
Aj! aj! żaba! — jak nie skoczy,  
Już nie widzą jej me oczy,  
Bo tak prędko się schowała,  
Jakby biedna żabka mała,  
Gdy spostrzeże zadyszana  
Cień potwora, cień bociana!  
Ale bocian dziób ma ostry  
I pożera nasze siostry;  
Czemu jednak uciekało  
Dziecko to przed żabką małą,  
Nie rozumiem... Ludzie pono,  
Nie tak mądrzy, jak mówiono!

M. B.



## U cioci Polci.

(Dalszy ciąg).

— Jak będziemy na przyszły raz robić świnkę, to spróbujemy zrobić dzika. — Może wam się lepiej spodoba rzekła ciocia.

— Jakaż jest różnica między świnią domową a dzikiem? — zapytał Kazio.

— Kto nam to powie? — spytała ciocia.

— Dzik jest zwawszy — rzekła Zosia.

— To prawda, ale jest jeszcze inna różnica.

— Dzik ma dwa kły — zawołał Henryś. — Ale jak je zrobić?

— To bardzo łatwe. Zobaczycie, jak będziemy wy-cinali słonia dla Zosi.

— Czy możemy zaraz zacząć?

— Nie, pierwszej zrobimy niedźwiedzia.

— Niedźwiedzia — krzyknęła Irenka. — Ja się boję niedźwiedzia!

— E, chyba cię nie zje — żartował Henryś.

Ale ciocia uspokoiła małą, że to przecie tylko niedźwiedź papierowy będzie, i kazała dzieciom odkroić papier na cztery i pół cala długi a pięć szeroki.

— Ależ to prawie kwadratowy kawałek — zdziwił się Henryś.

— Prawie — odrzekła ciocia. — Musicie uważnie rysować, gdyż niedźwiedź jest trudniejszy do wykonania niż to coście dotąd robili.

— Jakie on ma nogi, proszę cioci — spytał Kazio. — Nigdy nie widziałem żywego niedźwiedzia i na obrazku też nie często.

— Chodzi bardzo wolno — rzekł Henryś.

— A łapy ma płaskie i szerokie — objaśniała ciocia. To najważniejszy szczegół (fig. 10).

— Zapomnieliśmy o ogonie — zawołał Kazio.

— Nie zapomnieliśmy, tylko jest tak króciutki, że lepiej go wcale nie odznaczać.

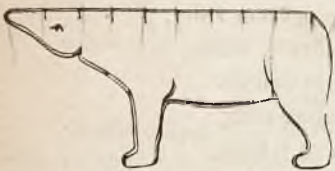


Fig. 10.



Fig. 11.

— I szyję ma bardzo krótką — rzekła Zosia. — Nie można jej zgiąć.

— Trzeba z nią tak zrobić, jak było u tej świnki (fig. 11).

— A teraz czy możemy zrobić słonia? — prosiła Zosia, gdy już niedźwiedź został skończony.

— Możecie. Weźcie papier ośm cali długi, a sześć szeroki.

Dzieci przykładały papiery, poznały i z pomocą cioci Polci wyrysowały tak wspaniałego słonia, że Zosia nie mogła się na niego dość napatrzyć.

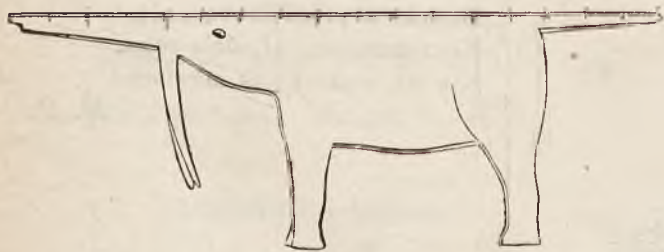


Fig. 12.

— Wytnij go ostrożnie, Zosiu, i nie zapomnij zrobić trąby cieńszej na końcu (fig. 12). Głowę trzeba przygiąć jak zwykle, ogon lekko spuścić a kły zagiąć mocno do góry z każdej strony trąby, to już wszystko (fig. 13).

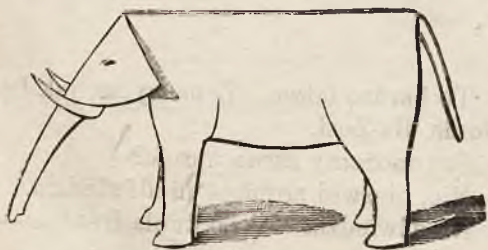


Fig. 13.

— Jeżeli chcecie, żeby miał dzikszą minę — rzekła Zosia — to trzeba mu ogon wyprostować, a trąbę wygiąć do góry.

Wszyscy zaczęli się śmiać z słonia Zosi, tak wyglądał dziko i energicznie.

— Pewnie się gotuje do walki — zawołali chłopcy.

— Trzeba go uspokoić — rzekła Zosia. — My nie chcemy tu żadnej bitwy.

Spuściła więc swemu słoniowi trąbę i ogon i wyglądał znów tak potulnie, że dzieci przeważały go „Jumbo.”

— No, moi państwo, do roboty — rzekła ciocia — gdyż inaczej nasz zoologiczny ogród, nigdy nie będzie skończony. Cóż teraz zrobimy?

— Chciałabym zrobić jakie zwierzę z długimi uszami — rzekła ciocia. Kto mi poradzi, jakie ma być?

— Czy długie uszy są trudne do zrobienia?

— Nie trudne, ale wymagają starania.

(d. c. n.)

## KROLOWA POZIOMEK I PAPROCI.

BAJKA CZARODZIEJSKA

przez Wacława Sulimę.

(Dalszy ciąg)

— Leśna paprotka — pomyślała.

Wtem z zarośli wysunęła się mała i brzydka staruszka, ubrana w zielony śpiczasty czepiec i w suknię z pokrzywy.

— Ha, ha — zaśmiała się — dobrze się Halinka przyśłużyła Królowej Paproci. Dziękujemy ci. Na tę kotlinkę ja i moje dziewczynki miałyśmy zdawna ochotę. Ale sarenka broniła przystępu do królowej i beczeniem swoim zwotywała Poziomki-dziewczynki; ty się postarałaś o zielony sznurek, który ci mój przyjaciel jastrząb wykraść; złapałyśmy sarenkę w sidła, królowa nie przyjechała, Poziomki się rozbiegły. Niech teraz wrócą, znajdą ptaka w gnieździe. Hi, hi, hi, dziękujemy ci Halinko.

— Dziękujemy dziękujemy! — zapiszczały inne głosy i z zarośli wysunął się cały tłum podobnych staruszek. Halinka na wszystkie strony ujrzała się otoczoną; szeleściły czepce, suknie, staruszki otoczyły ją kołem i zaczęły tańczyć, przeplatając chichotem i żartami.

Niektóre spuszczały się na dół, a ocierając się o Halinkę, parzyły ją nieznośnie, inne tańczyły jeszcze, opasując dziewczynkę, coraz ciaśniejszym pierścieniem którą zimny pot oblewał.

— Chodź-no do nas na ucztę, na tańce — wołały.

Nagle dał się słyszeć tentent i turkot, małe jędze rozpięchły się i zbiegły do kotlinki, a Halinka zemdlona osunęła się na ziemię.

V.

### Dębowy dziadek.

Wróćmy teraz do Jagusi, która została sama w lesie. Biegła ona ciągle przed siebie, zapuszczając się w coraz większą i coraz mniej znaną gęstwinę.

W końcu siły ją opuściły, upadła na pień i wybuchła płaczem. Szlochała głośno, wołając: Mamo! Janku! Elżbietko! Halinko!... ale tylko echo powtarzało te imiona.

Wtem dał się słyszeć trzask gałęzi i jakiś głos za-  
pytał:

— Czego płaczesz, dziewczeczko?

Przestraszona podniosła głowę i ujrzała siwego, bro-  
datego dziadka, który oparty na sękatym kiju, przy-  
patrywał jej się ciekawie.

— Płacę, bo zabłądziłam — odpowiedziała z płą-  
czem Jagusia! Mój dobry panie, pokażcie mi drogę do  
Leśniczówki, bo ja tam mieszkam.

— Moja dobra panienko, mogę ci tylko pokazać  
drogę do mego mieszkania, bo żadnej innej nie znam.

— A cóż się ze mną stanie!

— Z pewnością nic złego, jeśli pójdziesz ze mną, je-  
śli zaś tutaj zostaniesz, to może być rozmaicie.

— A gdzie mieszkacie?

— Niedaleko stąd; jeśli chcesz iść to chodź, bo nie  
mam czasu.

Jagusia wstała i zaczęła iść za dziadkiem. Przetarł-  
szy oczy z łez, przyjrzała mu się uważnie. Zdawał się  
być bardzo krzepki i żwawy, ubrany był w płachtę z dę-  
bowych liści i w czapkę z żółędzi; w ręku miał dębową,  
sękatą pałkę.

Szedł prędko, aż wreszcie doszedł do ogromnego  
dębu, uderzył weń pałką, dąb się otworzył i dziadek  
wprowadził dziewczynkę krętymi schodami do niewiel-  
kiej izby. Siedziała w niej stara i brzydka stara kobieta  
i dwie małe dziewczynki.

— Żono — rzekł dziadek, biorąc wylekłą Jagusię  
za rękę — spotkałem tę małą w lesie i przyprowadziłem  
ci ją.

— Bardzo potrzebnie — mruknęła babka — mam ja  
i tak o czem myśleć bez tej przybłądy; wypędź ją zaraz,  
nie chcę jej widzieć.

— Jak chcesz, ale może ją lepiej zostawić, czyż ci  
się nie przyda w domu?

— Pewnie nic robić nie potrafi, ale zostaw ją zre-  
szta. Wieczera gotowa, siadaj.

Dziadek usiadł, a Jagusia bardzo przestraszona wtuli-  
ła się w kąt i nieśmiało rozglądać się zaczęła.

Izdebka była niewielka, ściany pokryte dębową ko-  
rą, podłoga zasłana liśćmi.

Wszyscy zjadali z miseczek żółędnych jakąś po-  
lewkę. Kiedy się wieczera skończyła, dziewczynki zer-  
wały się z miejsca i opadły Jagusię.

— Nazywamy się Kora i Szyszka, a ty jak się nazy-  
wasz? Skąd się tu wzięłaś, ale to dobrze, że jesteś, bę-  
dziesz nam słała łóżka i sprzątała.

— I będziesz nam ubranie czyściła, tylko pamiętaj,  
żebyś z płasną nie przyniosła. Musisz nas słuchać, bo  
inaczej będzie źle z tobą. To jest mnie musisz słuchać  
bo ja jestem starsza.

— Wcale nie ciebie, tylko mnie, ty wszystko chcesz  
na opak.

Jagusia oszołomiona tym potokiem słów, nic nie  
odpowiedziała, kiedy zawołał na nią dziadek.

— Słuchaj mała — rzekł — ja jestem dębowy dzia-  
dek, to moja żona i córki, damy ci przytułek pod warun-  
kiem, że będziesz pilną i posłuszną. Musisz pomagać  
moim córkom w zajęciach domowych.

— Ależ ja nie chcę tutaj zostać — wykrzyknęła Ja-  
gusia — ja chcę wrócić do Leśniczówki.

— Chcesz? bardzo mnie to cieszy, no więc idź.

I otworzywszy drzwi, chciał wypchnąć na dwór  
dziewczynkę, która zawołała:

— Ja sama nie trafię, odprowadźcie mnie, mój  
ojciec wam zapłaci.

— Moja panienko, odprowadzaj się sama, ja się po  
lesie włóczyć nie myślę, żadnej Leśniczówki nie znam  
i zapowiadam ci, będziesz posłuszną i pracowitą, to zo-  
staniesz, a nie, to cię wyprowadzę do lasu i niech się  
z tobą co chce dzieje.

Rada nie rada, Jagusia stłumiła płacz, bojąc się, że-  
by jej na noc nie wypędzono. Była ona bardzo tchórzli-  
wą; Elżbietka i Halinka w jej wieku chodziły same po  
lesie, Jagusia zaś bała się odejść o dziesięć kroków od  
domu.

Zmęczona i głodna poszła spać.

— Może dębowy dziadek będzie którego dnia w do-  
brem usposobieniu — pomyślała — i zechce mnie odpro-  
wadzić. Muszę się starać, aby byli ze mnie zadowoleni.

Nazajutrz zbudził ją hałas. Szyszka i Kora ciągnę-  
ły ją za sukienkę, piskliwie wołając:

— Czy ty nie wstaniesz dzisiaj, próżniaku? Myślisz,  
że cię będziemy darmo żywić, a ty będziesz wylegiwała  
do południa.

Jagusia zerwała się. Szyszka kazała jej sprzątać  
izby, Kora czyścić ubranie, Dębowa Babka wołała, aby  
przygotowała śniadanie.

Biedna Jagusia ledwie mogła wydażyć. Usiłowała  
wszystkim dogodzić, ale to nie było łatwo. Po śniadaniu  
dębowa babka kazała im myć naczynia, Szyszka biorąc  
się bardzo niechętnie, zbiła ładną miseczkę.

— Co się tu stało? — spytała Dębowa Babka, usły-  
szawszy trzask.

— Jagusia zbiła miseczkę — odparła nie zmieszana  
winowajczyni.

— Ty niedołego mała! — krzyknęła Dębowa Babka —  
i naczynia zmyć nie potrafisz. Jeśli jeszcze raz szkodę  
zrobisz, to nie dostaniesz obiadu.

— Czemu skłamałaś? — zapytała Jagusia Szyszki  
z gniewem, skoro zostały same.

— Bo wolę żeby się gniewano na ciebie, niż na  
mnie — odparła szczerze Szyszka.

Jagusia już otwierała usta, żeby wyrazić swoje obu-  
rzenie, kiedy Kora zawołała:

— Będziesz się z nami jeszcze kłóciła, cóż to, nie  
dosyć, że cię darmo żywimy, i że u nas mieszkasz. Pa-  
miętaj o tem, że jesteś na naszej łasce.

Jagusia ugryzła się w język, czując, że trzeba  
ustąpić.

Przy obiedzie dostały się jej najgorsze kąski. Kora  
i Szyszka rade, że się mają kim wyręczyć, wyzyskiwały  
ją nielitościwie, spychając wszystko na nią, a w dodatku  
żadna nie podziękowała inaczej, jak przypomnieniem, że  
jest „na łasce”.

(d. c. n.)

## SZARADA.

*Pierwsze z drugim to owad, co wiosną i w lecie  
Uprzykrza się natrętnie każdemu na świecie.  
Trzecie jest to zebranie dobrze znane w dziejach,  
Gdzie u Słowian radzono o kraju kolejach.  
A wszystko dopływ Bugu, dosyć bystra rzeka,  
Co w biegu swym gubernię Grodzieńską przecieka.*

### ARYTMOGRYF.

od Puszczyka z Pil. dla Kurki z Polesia.

- 1) 15, 5, 18, 15, 13. Wieś w powiecie Olkuskim.
- 2) 16, 15, 9, 17, 19. Grecki półwysep.
- 3) 7, 19, 9, 17, 13. Dopływ Bugu.
- 4) 15, 18, 17, 19, 7. Zbiór wód.
- 5) 18, 4, 8, 7, 14. Państwo w Azji.
- 6) 21, 8, 5, 15, 13. Miasto nad Dnieprem.
- 7) 22, 16, 8, 5, 19. Gad jadowity.
- 8) 15, 10, 15, 6, 17. Miasto nad Odrą.
- 9) 22, 17, 1, 9, 19. Gatunek koni w Afryce.
- 10) 13, 18, 19, 6, 17. Przysiółek.
- 11) 15, 18, 22, 21, 15. Znakomity lekarz z XVI wieku.
- 12) 15, 18, 22, 21, 15. Rzeka w Afryce.

Zastąpić liczby literami, ażeby litery drugie każdego wyrazu złożyły imię i nazwisko dostojnika Kościoła.

### ŁAMIGŁÓWKA W TRÓJKĄCIE.

p. Wacława J. L.

- Zastąpić kropki literami i utworzyć wyrazy, którychby pierwsze litery pionowo i poziomo, złożyły nazwę jednej z największych pustyń na świecie. 2) Miasto w Grecyi. 3) Fabryka szkła. 4) Rzeka w Szwajcaryi. 5) Włoska nazwa nuty. 6) Samogłoska.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 21.

Szarady: Ewa — Ave.

#### Łamigłówniki sylabowej:

- 1) Wanda. 2) Obelisk. 3) Illinois. 4) Nankin. 5) Abazya. 6) Hamak. 7) Ignacy. 8) Styr. 9) Zakopane. 10) Perm. 11) Ameryka. 12) Negro. 13) Skagerak.

Wojna hiszpańsko-amerykańska.

#### Łamigłówniki w kwadracie:

K a l i s z  
B o r n e o  
M a r t w e  
H o r t e n  
D o n i e c  
K a u k a z

## Skrzynka do listów.

**Puszczyk z Pilawy** nabrał już wprawy w układaniu łamigłówek, bo często nas niemi obdarza; ostatnią postaramy się wkrótce pomieścić. Rozwiązania dobre.

Serdeczne podziękowania zasylają **Powisłance i Danusi** biedne dzieci z ochronki św. Pawła, za pięć sukienek i pięć fartuszków, własnoręcznie uszytych; a są tam dzieci tak biedne, że nie mają się prawie czem odziać. Raz więc jeszcze w ich imieniu Bóg zapłać za pocziwe wasze serduszka.

**Róży czerwonej** żądania załatwione, marki były zbyt cenne. Wystawiam sobie jak wam teraz czas wolny od nauki miło upływa, najpiękniejsza to pora na wsi. Pseudonimy braciszka i siostrzyczki twojej **Zywe srebro i Bystre oko** dobre i oryginalne. Mam nadzieję, że wszystko troje częściej do mnie pisywać będziecie. Radabym bardzo wiedzieć, co się dzieje w waszych ogródkach, co w nich sadzicie, czy same kwiatki czy też jarzyny i jakie? Proszę, donieście cokolwiek o własnem gospodarstwie. Sprawicie mi tem prawdziwą przyjemność, bo wieś bardzo lubię, a zajęcia wiejskie zajmują mnie bardzo.

Mile to stworzenia kurki czubate, białe i pstrokate, lecz najmilsza z nich chyba to moja korespondentka **Kurka z Polesia**, która pisuje do mnie czasami takie pocieszne i ciekawe listki. Nazwiska księżniczki Elżuni nie wiemy, wolno go się tylko domyślać, może kiedyś uda się jeszcze dostać jakąś kartkę z tegoż samego dzienniczka i pomieścić ją w Wieczorach. Konkurs na wypracowania przedłużony, a że redakcyja podała go dla starszych czytelników, może i ty zechcesz do niego należeć. Wszystkie łamigłówniki i zagadki pilnie bywają przeglądane i poprawiane, przypadkiem tylko wkrada się czasami omyłka w druku.

Nowej mojej przyjaciółce **Topolce** pospieszam donieść, że opis drzew, kwiatów i roślin znajdzie w botanice, zoologia pouczy cię o ptakach i zwierzętach. Oba te działy przyrody znajdziesz w książce p. t. Początki historii naturalnej p. Józefa Rostańskiego, profesora Akademii. Cena rub. 1 kop. 20 w oprawie, bez przesyłki. Dziękuję ci za twój pierwszy miły listek i spodziewam się, że na następne nie każesz mi długo czekać.

Nie zapomniałam o kochanych **Trzech Rakach z Siedlisk**, przeciwnie, was to o zapomnienie posądzalam. Całem sercem współczuję z wami w stracie, jakąście ponieśli przez śmierć waszej cioci, żalowałam też biednego chorego Raczkę, dzięki Bogu, że zdrowie już powróciło. Kiedy wybieracie się do morza i gdzie? Nie wątpię, że napiszecie do mnie przed wyjazdem, a później podzielicie się wrażeniem, jakie na was wywarła tak wielka przestrzeń wodna, której zdaje się niema końca, bo zlewa się w jedną całość ze sklepieniem niebieskiem. Poleca się waszej pamięci przyjaciela wam zawsze

Jaskółka.

**Sprostowanie:** W numerze 20, w łamigłównice w trójkącie, określenie wyrazu dziewiątego mylnie wydrukowano: bożek czeski, powinno być — grecki.

#### NA KOLONIE LETNIE ZŁOŻYLI:

Janek Olszak rub. 1. St. W. rub. 3. Stokrotka z Jabłonny rub. 1. Jaskółka z Mszanki rub. 1. Stokrotka Martwiej: z ciocią rub. 1. Pliszka Biała i Goryczka rub. 2. Laszka rub. 5. Mela Wazgird. rub. 1.

Dla najbiedniejszych dzieci: Helenka Szuld. rub. 3.

Ną nędzę wyjątkową A. B. rub. 4.